



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

3

(Ciąg dalszy).

Nie tak postępowała owa Polska, o którą kolega szermuje, w czasie swej potęgi i sławy. Otworzyła ona wrota na rozcień, wrota wolności i braterstwa dla wszystkich sąsiadów, była to wprawdzie tylko szlachecka wolność, ale na inną jej nie stało. I jak sto lat niewoli zdemoralizowało jej dzieci? Dziś pojmują i głoszą tylko swoje ja, swój pełny brzuch, swoje łóżko, swe wygodny...

Odetchnął, a w sali oświetlonej promieniami zachodzącego słońca, panowała głucha cisza; zdawało się, że wraz z jego słowami spłynął tu na chwilę duch braterstwa i unii.

— Wzniesmy się koledzy na chwilę wyżej po nad deptak codziennego życia i jego interesów... Wyżej koledzy!... Wyżej!... aż tam, gdzie nie dojrzymy już ani rysów różniących rasy i narody, ani dosłyszemy dźwięków rozgraniczających i spójrzcie na ziemię. Oto u samego dna mrowie ludzkie, miliony milionów, w pocie czoła, brocząc krwią i łzami, pracują, gromadząc nieprzebrane skarby... ale całe złoto wydzierają im wampiry ludzkie, rzucając milionom ochłapy, a przywłaszczując sobie lwia część złota pracowników, oddają resztę wyżej stojącym, aż do tronu królewskiego i tym złotem opłacają militarysty, który ciasnymi splotami trzyma w strachu i posłuszeństwie, w męce i rozpacz, miliony wytwórców złota.

Wśród zgromadzonych wszczął się cichy szmer, a ktoś zawołał:

— To socjalizm!

— Tak... to socjalizm — mówił spokojnie — czyż koledzy sądzicie, że u nas są inne warunki, aniżeli na świecie? Byłoby to samowiednem ludzeniem siebie. I u nas miliony pracują, a garstka używa... i bliższym mi jest umęczony i wydziedziczony robotnik cudzoziemiec, aniżeli plantator polski. Nie obcinajmy naszych ideałów, nie zacieśniajmy się w dusznej skorupie, ale niech nam przyświeca słońce wolności i szczęścia dla wszystkich, przez wszystkich; to nasz cel, to nasza droga.

Wstrzymał się na chwilę, tu i ówdzie odezwały się głośne oklaski, ale większość milczała.

Przewodniczący spojrzął po zebraniu i rzekł suchym, urzędowym tonem:

— Kolega Żalecki odstępować od przedmiotu... idzie o „Kółko sławistów“...

— Występując przeciw wyłączności egoistycznej kolegi Cypryańskiego — mówił spokojnie Żalecki — tem samem sprzeciwiam się jego wnioskowi odrzucenia propozycji „Kółka“, a jego argumenta wydają mi się co najmniej dziwne...

— Proszę o głos! — przerwał Cypryański.

— Ja mam... ja już pierwej się zgłosiłem — zawołał niespokojny Waldman.

Przewodniczący skinął ręką na znak potwierdzenia, a mówca prawil:

— Rzucił się na sławizm, a przecież ideałem każdego człowieka jest braterstwo narodów! Skry-

tykował naukę pokrewnych narodów, a sam wali pioruny na dążność moskiewskiego rządu wyrugowania z państwa innych języków. Wreszcie kłuje go, że wejdą do nas: Niemcy, Ormianie, Rusini i Żydzi. Przeciwnie, pragnę i żądam, aby weszli, nasza kultura jest tak silna, iż nie obawiam się, dla niej wpływów postronnych, a im więcej mamy przyjaciół, tem będziemy silniejsi, ale nie w tym celu, by odbudować Polskę szlachecką, lecz Polskę wolną, równą, silną społecznie i kulturalnie. I takiej Polski nikt nie wywalczy, tylko żywiołowy ruch milionów robotników, gniewionych dziś przez carów, królów, burżuazyę. Znikną wówczas różnice narodowościowe, wyrównają się przepaście, usuną się góry, wszyscy będziemy braćmi.

Znów rozległy się nieliczne, chociaż gorące oklaski, ale większość milczała, a zbyt przeciągły oklaski Olgi zwrócił na nią uwagę bliższych i dalszych sąsiadów. Oklaski Olgi były niemal odruchowem wspomnieniem stolicy, gdzie w gronie młodych słuchała płomiennych słów o wydziedziczonych, o naprawie tysiącletnich krzywd, o powszechnem braterstwie wolnych i szczęśliwych. I tu z ust Żaleckiego padły te słowa i tu znalazła pokrewnie dusze. Tam jej stosunki z młodymi były reakcją przeciw formalizmowi i uciskowi ojca i towarzysystwa jego, ale teraz poczuła się wolną, panią swych myśli i czynów i ta swoboda upajała ją na razie, rwała się do niej jej dusza i ona cała.

— Kończę, stawiając wniosek o przyjęcie „Kółka“ nie ze względów pieniężnych — spojrzął drwiąco na prawicę — ale dla idei, dla przyszłości.

Jeszcze nie zdążył się, gdy już się zerwał ze swego krzesła Waldman. Na jego błąd, pociągłą twarz z rysami semickimi, okoloną czarną kędzierzawą brodą, wystąpiły plamy ceglaste, a wychwytując rękami, mówił:

— Ja krótko powiem kolegom kilka tylko słów — zwilżył językiem zapiekłe kąty ust — dziś cały świat cywilizowany zna jedno hasło, wojuje o jedno tylko: precz z kapitalizmem! Nasz ideał jest taki, że potrzeba uświadomić robotnika, niech on poczuje swą siłę, niech on zatrzęsie zgnilym gmachem kapitalizmu i niech ta budowa wiezienna runie.

Odetchnął, by z głośnym bulkotem przełknąć gorącą ślinę a ktoś zawołał żartobliwie:

— To będzie drugi Samson!

— Tak jest, koledzy, robotnik będzie Samsonem i on pogrzebie w gruzach tych, którzy nie pójda z nim razem. Już kolega Żalecki powiedział, że nasz ideał jest wielki, jest wspaniały, i ja do tego ideału chcę was pociągnąć. Dla mnie wszystko jedno, czy robotnik jest żydem, czy chrześciani-
nem, ja chcę mu pomóc.

— Lichwą!

— Wyzyskiem! — odezwały się głosy.

— Proszę kolegów nie przerywać mówcy — upomniał przewodniczący.

— Czy myślicie koledzy — uśmiechnął się drwiąco i palcami rozczeszał czarną kędzierzawą brodę — że to delikatnie bezczęścić mój naród?!

Ja żyd, ja nie wstydę się tego, ale ja socjalista i chcę dla wszystkich wolności i chleba!

— Do rzeczy, kolego! Do rzeczy! — zawołał przewodniczący.

— Zaraz... muszę jeszcze powiedzieć słów parę koledze Cypryańskiemu...

— Nie wiem nic o koleżeństwie — rzekł twardym głosem Cypryański.

— A więc panu Cypryańskiemu, kiedy on się wypiera koleżeństwa uniwersyteckiego. Pan ten drwił z żydów, a żydzi taki dobry naród, a nawet dawniejszy, aniżeli polski. Ale czy ja się tem chwale, czy żądam wyłączności, czy powiadam, żydowska ziemia dla żydów...

— A gdzie ona? — zaśmiał się ktoś.

— Ja nic z tego nie mówię — udał, że nie słyszał pytania, chociaż oczy zapalały gniewem — ja chcę być bratem, chcę pomóc wszystkim cierpiącym, wszystkim pracującym do wyzwolenia się z kapitalizmu. Ja nie chcę tej Polski, gdzie szlachcic bije chłopą, gdzie fabrykant wyzyskuje robotnika, ja chcę Polski braterskiej, dla wszystkich jedne prawa, dla wszystkich jedna wolność, ale takiej Polski nie będzie nigdy, tak jak nie będzie żadnych państw i Polska rozplynie się w ludzkość.

W różnych kątach sali rozległy się drwiące śmiechy, a przewodniczący:

— Wniosek kolego! Wniosek!

— Zaraz... Panu Cypryańskiemu wolno było gadać, wolno i mnie... Dla mnie wszystko jedno, czy mnie dusi fabrykant polski, czy niemiecki, ja ich jednakowo nienawidzę.

— A żydowskich? — spytał ktoś.

— I żydowskich także... i dlatego ja nie chcę niepodległości Polski.

— Odebrać mu głos! — zawołano z różnych stron. — Milcz! Wara od nas!

— Czy koledzy myślicie, że ja się zleknię? — zaśmiał się — ja nie taki. Ja już kończę i stawiam wniosek, aby „Zjednoczenie“ powiedziało raz na zawsze, co ono myśli o socjalizmie, a swoją drogą niech „Kółko“ będzie przyjęte dla idei braterstwa narodów.

Usiadł, ciężko oddychając i ręką otarł spoczone czoło, a za kilka, dość nieśmiały oklasków, skinął głową z wielką wdzięcznością.

W sali już się ściemniało, wszedł woźny, zapalił lampy boczne, a na stole ustawił dwie świece. Po jego wyjściu przemówił przewodniczący:

— Kolega Waldman odbiegł od dyskusji i postawił dwa wnioski. Pierwszy zostawiam na razie na uboczu, a drugi poddam pod głosowanie... Kolega Cypryański ma głos.

Zbliżył się do stołu, i oparłszy jedną rękę na nim, spojrzął z lekkim szyderstwem w stronę siedzących obok siebie Żaleckiego i Waldmana.

— Kolega Żalecki wyznał, że lubi nagość cielesną — uśmiechnął się — a nagość duszy sprawia mu przykrość. Ja znów przeciwnie, lubię nagość duszy, rozumiejąc pod tem szczerość... no i piękną nagością... w rzeźbie nie pogardzam. Kolega Żalecki obnażył swą duszę i zobaczyliśmy, iż on, czy gdy spaceruje swobodny, czy gdy uczy się lub zjada obiad, przyrządzony przez kucharza-robotnika, wylewa potoki łez lub współczujących